Rozmaitości

DNIA 20. WRZEŚNIA N^er 38. 1834 ROKU.

WESELE ALFREDA.

Hucznęto było wesele Alfreda. Młodzież przy kieliszku, mężczyzni przy wisku, stare stadła przy tortach, dziewice przy tańcach znaleźli swą wesołość; jedni z nią siedzieli, drudzy z nią skakali, zwyczajnie na balu, na świecie; muzyka, jak złote ramy tego obrazu, wabiła wzrok i ucho znawcy. Ja sam jeden byłem myślący między niémi, bo nie piłem, nie tańczyłem, i zewnątrz obrazu przypatrywałem się złudzeniom światła, wina i skoków; tak w arcydziełach Verneta, na brzegu morza lub w szalupie, zobaczysz spokojną figurę majtka z założonémi rękami, patrzącą w księżyc lub wodę: zdaje się, że zewnątrz stojąca myśl malarza chciała się w nim odbić, przemówić. Toasty zdrowia lub szczęścia latały z ust do ust; potworzyły się grupy w rogach sali, rozmawiano w pół głośno; zagrzmiał mazur, rzuciła się młodzież, obracały się damy, tupali mężczyzni, młoda para puściła się *solo*; ten podawał swéj pannie stołek, i odebrał w nagrodę wycedzone *merci*, ówdzie tanecznik coś szeptał do ucha swéj sąsiadce, tam przed lustrem grzebyczek poprawiał nieład loków kawalera — jam w kącie pokręcił wąsa; wszyscy byli zajęci sobą; ja wszystkimi. I nie dziwujcie się, mogłem się nimi zajmować, gdyż dla mnie byli obcymi; ani tam przyjaciela, ani kochanki, ani ojca, ni matki; żadna tam ciotka nie mrugała na mnie, bym wziął jéj córkę do tańca; nie byłem przytém wesoły, z daleka, z wielkiéj podróży bolesnéj..... rozumiécie mię... a jeźli nie, to proszę nie pytajcie o nię, bo nie można bez łzy opowiedzieć; — a to wesele; proszono na tańce, na śmiéch, a nie na płacz niewczesny.

Pan młody zgrabnie wywijał, panna młoda suwała jak łania; w tém, nieszczęście! spada z jéj głowy kokarda, właśnie w najlepszéj ochocie; sto rąk się po nię schyliło, każdy chciał oddać, zyskać uśmiéch, podziękowanie; rozerwali ją, roztrzęśli, a kawałki poszły zdobić guziki zalotnych podnosicieli. Piękna kokardo!... przypinająca cię ręka do głowy chciała wywołać tobą wzrok uwielbienia, podnieść ozdobę białego czoła, kruczych włosów; spadłaś, zawiodłaś nadzieję... ale piękna w upadku, pomnożyłaś wartość twéj pani, i stałaś się pamiątką....

Ale młoda para obiegła koło daléj; dziewica niechętnie, młodzieniec żywo.

»Szkoda,« szepnęła cicho, jakby z niechcenia, podając w okręcaniu Alfredowi rękę.

»Ej co tam, Zosiu!« odbąknął Alfred, i skończył figurę.

Kilka słów, a w nich cały wyraz dwóch osób, tak różny, tak dziwaczny. Lękliwa, a może i zabobonna dziewica z potulnością obawy całą okropność przyszłości jedném zdała się oskarżać słowem: szkoda. Oj szkoda twych wdzięków, Zofio! dawnego szczęścia, chwil dawnych; bo odtąd, od jutra to nawet, co cię onegdaj dotknęło, będzie dla ciebie dawném. Szkoda oczu twoich, bo już po zorzy twojémi nie będą: oczyma męża w świat pogląda żona; tylko jedne łzy będą twojémi, może nie podzielone nawet, wyciśnięte, wyśmiane. Zofio, dobrześ mówiła szkoda, ten nagrobek wymowny przystał dziewiczym uczuciom; może on będzie tematem twych myśli na długo — na zawsze; może w objęciach Alfreda brzęknie w twém sercu jak fałszywa nuta; nieszczęśliwa, nie wiesz, że jego łono będzie dla ciebie

)(

jedynym portem, a występna, jeżeli inne — i w téj chwili szukałem Zofii oczyma; znalazłem ją bladą, drżącą, z twarzą w otwarte podwoje wlepioną: pewno śledzi męża, dotąd kochanka swego; zaglądam — zielony stolik — złoto!

»Ja ciągnę! szczęście przybywaj! dyska moja.« Ten głos donośny, dźwięczny, doleciał do tańcującéj Zofii; ciekawiéj wyciągnęła szyję, drży jéj łono; któżto ciągnie, pomyślałem sobie, głos nie Alfreda; pobiegłem do drugiego pokoju. Młody blondyn przerzucał karty, spuścił twarz na stół, nie widziałem oblicza; staję za nim, patrzę w pannę młodę: stała na przeciw, utonęła w jego pierścieniach włosów, w oczach znać ciekawość, niecierpliwość — słuchała.

»Przegrałem!« krzyknął młodzieniec, i rzucił się z miéjsca.

»Ha! ha!« rozśmieli się poenterowie, i zgarnęli złoto; on znikł w przybocznym pokoju. Zofija się nie śmiała, i daléj za nim pobiegła niespokojném okiem. Alfred był przy niéj, coś mówił do niéj; nie słyszała, wziął ją za rękę — przestraszyła się.

»Zosiu! czegoś się tak przelękła.«

»To spazmy, Alfredzie! zamyśliłam się — o tobie!«

Piérwsza chwila hymenu, i piérwsze kłamstwo słyszałem w jéj ustach; kłamstwo, za które podziękował narzeczony całusem, i odszedł do grających przy stoliku; miéjsce próżném zostało, zajął je Alfred.

»Hej, chłopcy, nowożeniec ciągnie, stawiajcie, stawiajcie!« wołał podtatusiały gospodarz.

Alfred wziął karty w rękę, zebrał, ostawiono bank. »Motylek wygra!« zawołali obecni, i Alfred wygrał. »Stoi! *quitte ou double!*« — »Idzie!« posypały się karty... wygrał.

»A co, chłopcy, nie zbijecie banku, nowożeniec się trzyma — dobrze Alfredzie; oj trzymaj się dzisiaj.«

Potrojono stawki... znowu wygrał. Ja spojrzałem po Zofii; nie baczyła na gracza, nie baczyła na taniec; coś jéj brakło.

»No, *omne trinum!* kto pójdzie *banco?* Co, młokosy, nikt, tchórze; bodajto pan młody.«

»Ja idę,« przybywający z głębszych pokojów rzekł blondyn, i posypały się pieniądze przegranych, i ciekawie rzuciły się wszystkich oczy na karty. Zofija przyszła do siebie, spojrzała, i znowu piérwsze ciągłe oczu wlepienie, piérwsza niespokojność i trwoga.

»Ubił, ubił *banco!*« rozległ się krzyk po sali, i blondyn zagarnął złoto. Radość błysnęła na twarzy dziewicy, która wnet pobiegła po męża: »Zaczynamy nową figurę,« zawołała, i pociągnęła Alfreda tak żywo, iż nie w takt trącał nogą.

Ten smutek z wygranéj, teraz ta radość z przegranéj kochanka dziwnie szumiały w mych uszach; chciałem się przypatrzyć twarzy tego blondyna, szczęśliwego podwójnie; znów go niebyło koło mnie, stał zdala, przypatrywał się tańcującéj parze. Zofija wesoło podlatywała z ziemi, wybiéra — wybrała jego, spodziéwałem się, i mnie wybrała, nie spodziéwałem się tego; z rozkoszą podaję rękę, była młoda i piękna, cobym nie dał gdyby jedno... w tém czuję ściśnienie jéj dłoni, słabe, pieszczone, nagłe; skręcam się ku niéj, twarz mi pała, serce drży; wpół-odwrócona obliczem nachyliła się ku blondynowi; jak widziałem, mocno ich ręce skleiły się w tańcu, ścisnęły się, a doznany przeze mnie uścisk niestety! był jeno skutkiem jéj wzruszenia, odbiciem; druga ręka była tylko szczęśliwą. Stajemy na przeciw dwóch dam, które Alfred wywiódł do koła; Zofii ręka porzuca mnie, i mego rywala... o jakżem był uradowany tą figurą, i on ją musiał porzucić razem; nie dałem mu jednéj chwili więcéj, uczepiłem się dłoni panny młodéj, ostatni ją puściłem. Teraz Alfred z nią hasa, z uśmiéchem odebrał ją z rąk naszych; śmiéj się Alfredzie, ciesz się Alfredzie, wszak i ja przed chwilą cieszyłem się uściskiem nie dla mnie, nie przeze mnie wzbudzonym; bodajbyś miał tylko dłuższą chwilę obłędu uciechy! Zakończono mazura, roznoszą lody; jakże ich pragnąłem; pierś gorąca, myśl gorąca — pożérałem lody, głowę cisnąłem o szyby, mróz puścił z okna pod mém czołem, i spłynął z kroplami potu; lżéj mi było, ale smutno, drészcz trzęsie członkami, wargi mi drgają, trzeba się rozgrzać, rozszumiéć, zamęczyć; grają walca, lecę na oślep, chwytam piérwszą tancérkę, kręcę się, rozbijam, rozpędzam, roztrącam, a w głowie mojéj szumi, miga światło, już i światła nie widzę, tylko jak stryga, jak lalka stanął w oczach słup światła — kręci się, rośnie, świdruje...

padłem; w drugim pokoju ocknąłem się na kanapie... trzeźwiono mię wodą.

»Cóżto panu?« pytają ciekawie matrony.

»Zakręciło mu się w głowie,« odpowiadają starzy.

»Musiał się upić,« szeptają młodsi.

»Ach! jakże się zmienił,« powtarza kilka piękności przechodzących niby przypadkiem.

O! prawdę mówili starzy, młodsi i kobiéty, zakręciło mi się w głowie, upiłem się i zmieniłem.

Już było po północy, tańczono jeszcze, ale rzadsze koła, nie tak stłoczone walce; czas było spocząć; cukrowa kolacyja wezwała grono tańcujących; pękały butelki, wyskakiwały korki. Huczneto było wesele Alfreda: mężczyzni osobne utworzyli koło, obchodziła w niém kolej; był tam Alfred, był i blondyn, wmieszałem się do nich; żartowano rubasznie.

»Hej, Alexandrze! nie wesoło pijesz,« zawołał gospodarz, odbiérając wymuszony kielich z rąk nizkiego, krępego mężczyzny. Twarz oddającego śniada, zrumieniona winem, skrzywiła się śmiéchem.

»Pije jak pije, ale strzéla dzielnie,« ozwał się przy nim stojący.

»O, jemu nie na rękę to wesele,« bąknął blondyn tak stłumionym głosem, że tylko ja i Alfred, blizko niego stojący, mogliśmy dosłyszéć.

»No! a to czemu?« zapytał Alfred skwapliwie.

»A to nie wiész,« odrzekł blondyn, ujmując wpół Alfreda i, chyląc mu słowa do ucha, oddalił się z nim ku framudze sklepionego okna; nie słyszałem końca zwierzenia, alem patrzał w twarz Alfreda; mienił się, bledniał, a wzrokiem szukał krępego mężczyzny. Ciekawość mię zdjęła, poszedłem wrzkomo ku stolikowi, na którym rozrzucony leżał romans francuzki; stolik był blizko okna; przewracam kartki, słucham.

»I ón śmiał!« krzyknął Alfred w téj chwili głośniéj.

»Z pewnością nie umiém ci powiedziéć, co wypadło, delikatność nie pozwalała mi badać — byłoto w ogrodzie — odprowadził ją do owego lasku — wiész — z tém wszystkiém krzyknęła — a na krzyk przybiegłem.«

»I tyś go nie ubił, nie rozdarł na miejscu.«

»Tu mię ranił,« odrzekł mu blondyn, wskazując na ramię; »ja chybiłem.«

»Zbrodzień! zdrajca! wyspiéwa mi to wszystko pod kulką, zapłaci...

»Tylko ostrożnie, Alfredzie! ja dałem słowo honoru, że nikomu nie powiém, tobiem musiał, więc go nie pytaj, nie badaj, on się wyprze, wyklnie; ty nié masz świadków; ja za świadka służyć nie mogę, miałem z nim rozmowę.«

»Co! ja mam go pytać, by mi się w nos rozśmiał; piérwéj łeb mu rozwalę, potém niech gada.«

»Ale piérwéj...« tu zniżył głos tak mocno, iż nic więcéj nie słyszałem.

Dziwna powieść; widać, że chodzi o kobiétę. »Na jéj krzyk przybiegłem,« mówił blondyn; kimże się zajmuje pan młody w dzień ślubu, jeżeli nie Zofiją? Zkądże ta powinność blondyna ujęcia się za nią, a przecież wyrzucał mu Alfred: »I tyś go nie ubił.« Ten pojedynek, pogróżki, i spokojna podochocona mina Alexandra, na którego się odgrażali obadwa; ten blondyn, przyczepiony do ucha Alfreda, jak owo pachole, duch, anioł czy szatan w ukraińskiej Maryi, w poły obejmujący rycérza i w czwał z nim lecący na pole; wszystko to fantastycznym kręgiem okoliło mi głowę; czekałem końca.

W poblizkim pokoju, do którego drzwi na klucz zamknięto, słyszymy stukot młotka; oznaczał, iż gotowano starodawnym zwyczajem dla nowożeńców kotarę. Zwolna pannę młodę okrążały matrony; wpoły ciekawą, wpoły skromną miną dziewice odstępowały od Zofii, a na ich twarzyczkach, nie wiedzących, czy się rumienić, czy nieświadome udawać, błąkał się uśmiéch, którym zarówno przyjmowały tego, który im cukierki podawał, jak i tego, co podchmielony z dwuznacznym wyjeżdżał konceptem. O jak wtedy dla znawców ciekawy jest wyraz twarzy kobiécej! Kto wié, jak głębokie, ważne myśli wybiegają wówczas z ich łona. Ta z pustym śmiéchem, ledwo podnosząc czarne długie rzęsy, pokazuje przyjaciółce cukrowe serduszko, które w ręku trzyma; na co jéj odpowiada czyste, spokojne, niebieskie oko sąsiadki, wejrzeniem więcéj smutném, tkliwém, jak figlarném. O gdyby mi wówczas przyszło wybiérać między wami dwiema przyjaciółkę, kochankę i żonę: luba dziewico z błękitném okiem, podałbym tobie moje

rękę do ołtarza, boś ty spojrzeniem wydała całą tkliwość pożycia, boś ty nad tą chwilą hymenu musiała rozmyślać długo, przewlekle, jak nad przyszłością, nie zaś jak nad rozkoszą. A ówdzie ta ciekawość dziecinna, co strzeliła okiem z pod różowego opięcia głowy, onato jaśniéj mówi o twojéj niewinności, o pietnastu latach twoich, piękna brunetko! jak uroczyste zaręczenie twéj ciotki, i tok twojego łona;... piękny pączek ciekawiéj przemawia do serca botanika, jak rozwinięta centifolija; z pączka dopiéro kwiat się wywinie, a z kwiatu już tylko woń i robak.

Otwarły się podwoje dotąd zamkniętéj sypialni, wprowadzono pannę młodą. Alfred bocznémi drzwiami zniknął już z grona naszego. Wróciliśmy do tanecznéj sali. Odpoczywali biesiadnicy, łona zmęczonych dam podnosiły się w takt mazurka, ale już je chłodził szal, przez troskliwą zarzucony matkę; kiedy niekiedy hurkot pojazdu oznaczył ubywanie gości. Uważałem nie bez zadziwienia, jak młody blondyn uprzedzał prawie żądania matek i ciotek w sprowadzeniu ich koczów, salop, czépeczków; jak rad oznajmiał, iż ludzie czekają, tych żegnał, tych wsadzał; snać chciał się pozbyć wszystkich; już tylko kilku pozostało mężczyzn, zajeżdżały sanki; nie chcąc mu być zawadą, wyszedłem za nim, bym moich zawołał ludzi; staję na ganku, blondyn rozmawiał z jakimś człowiekiem: »Czyjeto sanki z siwémi końmi?« — »Pana Alexandra.« — »Gdzie jego lokaj?« — »Ja, panie.« — »Odprowadź sanki na lewo za gumno, tak twój pan kazał.« — »Dobrze.« — »Czekaj tam, aż cię zawołają.« — »Dobrze panie.« — »Tylko nie odstępuj koni.« — »O, panie, co w tém...« Tu się ukłonił lokaj Alexandra, bo mu w ręku zaciężyło kilka srebrnych grajcarów, od niechcenia wrzuconych przez blondyna. Lokaj wskoczył na sanki, zaciął konie, a blondyn wracał do pokoju; byłem mu na drodze.

»I pan już jedzie,« rzekł do mnie z ukłonem, »trzeba się zatrzymać trochę; ten zawrót, to zmęczenie, którego pan doznał; wszak, jeżeli się nie mylę, pan z obcych stron jesteś?«

Tak jest, z obcych... dalekich stron.

»Zatrzymaj się pan cokolwiek, noc ciemna, może zaświta, ludzie pańscy drogi dobrze nie znają, mogą wywrócić.«

Zdziwiła mię ta jego troskliwość, alem musiał wrócić do sali, ujęty pod pachę; nie było w niéj nikogo, tylko ja i ów nizki krępy Alexander, do którego jak pijawka przyczepił się blondyn. Chodzili z sobą wzdłuż i wszérz po pokoju; blondyn ciągle zagadywał, zatrzymywał, zwłóczył; ja patrzałem na niego, jak na aktora, grającego rolę, Bóg wié jaką rolę. Bije kwadrans, półgodziny; wchodzi do sali kamerdyner Alfreda, poznałem go; podczas uczty roznosił butelki, wrzkomo poprawia stołki, pojrzał po blondynie. Blondyn skinął; odszedł. »I my też pójdźmy, już świta, chodź Alexander; wyszliśmy do sieni, ciemno było, coś w kącie ruszyło się cicho, wyciągnąłem w to miéjsce rękę, i dotknąłem się zimnéj lufy pistoleta. »To ja, panie;« ozwał się kamerdyner Alfreda.

W téj chwili z trzaskiem rozpadły się drzwi naprzeciw sali; wypada z nich Alfred, wpół obnażony; uchylone drzwi dały mi widzieć kotarę, na niéj z rozpuszczonémi włosami Zofija, oczy zasłoniła chustką, pierś wzdymały ustawiczne łkania boleści.

»Patrz! patrz!« krzyknął przeraźliwie Alfred do nizkiego krępego mężczyzny, i gwałtownie pochwycił go za ramię. »Twoje to dzieło, wisielcze!« i głośny policzek rozległ się po sieni.

Zerwał się nagle napadnięty od Alfreda, silną dłonią schwycił go za gardło, i zdusił w niém wpół wymówioną obelgę. Szarpał mocno blondyn Alexandra za ramię i wybawił Alfreda.

»Pal mu w łeb!« krzyczał na kamerdynera wściekły Alfred.

»Hola ho! nie róbcie krzyków; do ogrodu, z pistoletami do ogrodu!« to mówiąc blondyn silną ręką porwał Alfreda za koszulę, a zjajanego gniewem Alexandra ręce skrępowały żylaste dłonie kamerdynera. »Pójdź pan za nami,« wołał na mnie blondyn, »będziesz służył za sekundanta.«

Idąc zbliżyłem się do napadniętego: Cóżeśto zrobił narzeczonéj? pytałem go, patrząc mu bystro w oszy.

»Bóg widzi, nic! jakem człowiek honoru.«

A w ogrodzie! dodałem z cicha, i w twarz jego utopiłem wzrok badawczy.

»W jakim ogrodzie?« odrzekł z zupełną spokojnością umysłu i twarzy. Był nie-

winnym, zupełnie niewinnym, bo tak nagłe pytanie, od nieznajomego zadane, pochwycone ode mnie w owéj skrytéj rozmowie, byłoby samego zbrodniarza zmieszało. Wówczas stanęło mi na myśli całe postępowanie blondyna: wrok Zofii, ta radość, to ściśnienie ręki, ta rozmowa w oknie, te grajcary — i nie wątpiłem więcéj. O! Alexander był niewinny.

Stanęliśmy w ogrodzie; brnęliśmy w śniegu po kolana; Alfred w czarnych spodniach, w białéj koszuli z krwawioną szyją, wyglądał jak żołniérz, prowadzony na rozstrzelanie. Sądziłem, że mróz zdołał ochłodzić jego porywczość, zbliżyłem się, chciałem mówić z nim na osobności; nie dozwolił blondyn.

Jako sekundant Alexandra mam prawo, zawołałem z żywością, porozumieć się z Alfredem.

»Jako sekundant,« odrzekł porywczo blondyn, »masz prawo odmierzyć kroki.«

Ale powód zaczepki nie jasny; odparłem ostro.

»Jednak dość głośny, i wyraźny, bo aż mu twarz nabrzmiała.«

»Prędzéj!« krzyknął Alfred, »bo mu w łeb strzelę,« i porwał za pistolet.

Widziałem, że nié ma sposobu wstrzymania; kamerdyner zapalił pochodnię.

Wieleż kroków? spytałem blondyna.

»Jeden!« zawołał Alfred.

To zabójstwo, odrzekłem śmiało; nie pozwolę na jeden.

»Ja pozwalam,« odezwał się Alexander; »jeden i jedna kula.«

Nie mogłem się sprzeciwić; obie strony przystały. Blondyn nabijał, jam patrzył, drżała mu ręka, połowa prochu posypała się po śniegu; obejrzałem pistolety, jednakowe były; jeden nabito kulą, drugi prochem; położyliśmy je na czapce. Zbliżyli się przeciwnicy, każdy chwycił broń skwapliwie, stanęli na przeciw sobie o krok; my w pobliżu trzymaliśmy pochodnię.

»Raz! dwa!« trzęsącym głosem rachował blondyn; widziałem niespokojność Alfreda, migotał mu pistolet w dłoni, prosto w czoło przeciwnika wzniesiony; spokojna niewzruszona lufa Alexandra dotykała piersi Alfreda.

»Trzy!« krzyknąłem nad ich uchem, dwa strzały;... padł Alfred, a głowa Alexandra, prochem zajęta, świéciła mu jak pochodnia grobowa.

Zmieszany tym wypadkiem nie wiedziałem co począć. Blondyn zdał się przewidywać skutki pojedynku; dwóch ludzi znalazło się w pogotowiu; w głąb przyległego lasku zaniesiono ciało nowożeńca. Alexander przyszedł do siebie; wymożono od nas przysięgę tajemnicy; słowo honoru, jak stępel urzędowy, zabezpieczyło jéj pewność. Kamerdyner odprowadził Alexandra do sanek; blondyn spiesznym krokiem opuścił nas. Pozostałem sam jeden (w zamieszaniu zapomnięli o mnie) niewiadomy drogi, bez przewodnika, bez światła; chcę szukać mych ludzi; idę po śladach na śniegu; zimno mi, byłem tylko we fraku; teraz dopiéro przypomniałem sobie, iż w zamęcie zapomniałem futro; wyszedłem na podwórze, dwór zdala czerniał dachem; tam futro, tam pewnie czekają mię sanki, pomyśliłem sobie, i kilką skokami stanąłem w sieni; w niéj tak było ciemno, jak przedtém, kiedym wychodził z Alexandrem; ja byłem tak pomieszany, iż zapomniałem wejścia do sali; szukam drzwi po ciemku, pod mą ręką nawija się klamka, chwytam ją chciwie, pchnąłem, rozbiegły się podwoje, i znalazłem się w pokoju Zofii;... siedziała z blondynem na łożu, wpół ujęta w zapomnieniu. Na moje nagłe zjawienie się krzyknęli; blondyn zerwał się do mnie, ale wybladły, drżący, zachwiał się na nogach, i nie mógł postąpić kroku. Chcę się cofnąć, obracam się do drzwi, w tém widzę... tuż obok mnie stoi, zgadniéjcie kto? Alfred!... ten sam z obnażoną piersią, skrwawionėm gardłem, niepomszczony, niemy;... ten sam Alfred, któregom dopiéro widział jak padł bez życia, i jak go zaniesiono do lasku.

Nie jestem fanatykiem, nie byłem nigdy zabobonny, a jednak przysięgam wam! widziałem go, jak was dziś widzę; nie wiém, czy oni go widzieli, ale przestrach blondyna, ale jęk Zofii potwierdził mię w tém mniemaniu. Nie jestem tchórzem, a jednak mi włosy powstały na głowie, wybiegłem, uciekałem, jakby mię gonił duch Alfreda; za wrotami podwórza napadłem mych ludzi, kazałem pędzić, co siły; już dobrze widno było, kiedym powrócił do mojéj gospody.

W kilka dni po tém zdarzeniu byłem w dość licznéj kompanii kobiét, bawiono się, jak zwykle, rozmową, plotkami.

»Jakeś się pan bawił na weselu?« spytała młoda mężatka.

»Dużoś pan tańczył?« dodała dość niemłoda panienka.

»A jak się panu wydaje toaleta naszych wieśniaczek?« przerwała jejmość domu, prostując swoje kokardy u czepka.

»Tegoś pan nie musiał bardzo uważać,« odpowiedział za mnie godny małżonek jejmości, »ale że ci to wesele musiało diabelnie głowę zawrócić, pewnieś zasmakował w małżeństwie?«

»Oj nie!« przerwałem szybko i nierozważnie, ale tak gwałtownie, że wszystkich oczy padły na mnie, oczekując bez wątpienia jakiejś powieści, coby do nowych mogła im posłużyć plotek. Postrzegłem się w ówczas, a miarkując mój zapał: »Nie,« powtórzyłem wdzięcznie, »takem się zmęczył przytomnością na weselu obcém, że nie ręczę, czybym na swojém nie skonał.« Śmiechem ogólnym zakończyłem niebezpieczne tych gości badania, ale oraz przekonałem się, że cały wypadek nocny dla wszystkich był tajemnicą.

* * *

Nad spodziewanie, a nawet i nad chęci moje zabawiłem się w tych stronach dłużej, aniżelim z początku miał zamiar; jednakże zakres znajomości moich, serdecznych i nieserdecznych, nie wybiegał, jak dotąd, nad okres kilku sąsiedztw, a rozmowy rozbijały się o wieczne pogody i niepogody, i kończyły się na kilku robrach. Znacie mój sposób: wiele myśleć, mało mówić; pisać zawsze, pisać było mym żywiołem. Nie lubię ludzi, bo wiem, iż na tysiąc, tysiąc cię obmówi, skrzywdzi, oczerni, jeden przywita, zrozumie; mniej jedna znajomość, mniej jedno niepodzielone uczucie, tak sobie zawsze rachuję, i dotąd nie zbankrutowałem przekonaniem.

Dni, miesiące, rok upłynął, jeszcze byłem w owych stronach i nabyłem prawa bywania u sąsiadów bez zaprosin. Pięknyto zwyczaj na wsi, dawny, nie wiem, ale zapewne od koczujących nomadów pochodzący. Zbieramy się w kilku, niespodzianie wpadamy w dom ochoczy, nie bacząc, czy jegomość w kwaśnym, czy słodkim humorze, czyli jejmość ze spiżarnią nie ma kłopotu; dość na tem, że zajeżdżamy, pijemy herbatę, każemy wyprzęgać i raczymy ich obiadać. I ja należałem do tych nomadów!........

Ale wybaczcie mi: odskoczyłem od rzeczy, bym prawił o sobie; zwyczajny to nałóg starych jak ja; im się wydaje, że bez nich rzeczy ubiegłe nie byłyby poszły tym torem; mnie się widzi, iż beze mnie niebyście nie wiedzieli o weselu Alfreda.

Byłoto w środku maja, bawiliśmy się ochoczo w ogrodzie pani B*, i przyjemność gospodyni, i świeżość powietrza, i cień świerkowego lasku, i młode dziewice, białe lilije, rozsypane po murawach i szukające towarzyszów fijołków, wszystko weseliło obecnych, śmieszyło, bawiło; a z drugiej strony rzeki, góry, matki dzieciom, czasu szronem bielące się, jak starość patrzały na igraszkę naszę, strome szczyty grzejąc na słońcu majowem, a lasy u ich podnóża bukowińskiemi szeleściały wiatry. Nieznaczne grono bawiących powiększało się gośćmi; pustowałem z młodemi pięknościami to w gaiku brzozowym, to znów wśród klombu kwiatów, to nad rzeką, nigdy na jednem miejscu, zwyczajnie jak w ogrodzie. Tak nam zaszło słońce, trzeba było wracać do starszej kompanii, pod wieczór dnia, jak pod wieczór życia. Znachodzimy się w smerekowym lasku, ale podczas niebytności naszej, przybyła nowa para, kobieta w żałobnej sukni, zajęta rozmową z gospodynią domu, młoda, szczupła; twarzy jej czarnym osłonionej kapeluszem dojrzeć wyraźnie nie mogłem, i... blondyn, ten sam, ale znacznie odmieniony, blady, wyschły; pobudziło to moję ciekawość, i zbliżyłem się do żałobnicy... Zofija! — znów Zofija i blondyn.

Któżto jest? zapytałem sąsiada, co obok mnie spokojnie dopalał *cygaro*.

»To Zofija W.«

W żałobie?

»Po Alfredzie.«

To zginął?

»Jakto zginął;« odparł z uśmiechem mój sąsiad, »umarł!«

Gdzie?

»U wód zagranicznych.«

A ów blondyn? wieczny towarzysz Zofii; odparłem.

»Cóż z tego, to brat rodzony.«

Czyj?

»Zofii.«

Brat!... brat rodzony! zawołałem z zadziwieniem. On! nie może być — on, co ją... wstrzymałem się; już tajemnica była na wargach moich.

»Cóżto przeszkadza;« dodał z uśmiechem sąsiad, jakby zgadując niedokończony przeze mnie wyraz, a ten uśmiech więcej mówił złego o Zofii, niżeli wszystkie słowa, jakiemiby obciążyć można czoło zhańbione. Śmiech jego był głośny, z gardła, pusty, i wszystkich oczy padły na nas obudwu; wszystkich, i Zofii i blondyna. Musieli mię poznać w tej chwili, bo oboje spojrzeli po sobie, zmieszali się, zbledli. Na wchodzie do świerkowego lasku, oparty o drzewo, stałem nieruchomy, jak uderzony piorunem, tak zmieniony tem, co słyszałem, jak wówczas, gdym szukając po omacku drzwi do sali porwał za klamkę i ujrzał kotarę. O! musieli mię poznać, bo tak mi włosy na głowie powstały, bo takim nieładem latały mi oczy i ręce, jak w ówczas... w tem na przeciw mnie z po za drzew wysuwa się... Alfred!

ten sam, co wprzódy, z obnażoną piersią, skrwawionem gardłem, w rozdartej koszuli, przeszedł pomiędzy Zofiją, blondynem, a mną, i zniknął za świerkiem; widziałem go, Zofija widziała, i padła z krzykiem bez przytomności na ziemię; rzucili się wszyscy do jej ratunku, drżały jej członki konwulsyjnym rzutem; blondyn, wryty, niemy, z rozwartą na mnie powieką, stał sam jeden nieratujący, nieporuszony.

Wybiegłem z lasku; skryłem się w alei — ja to, ja sam wywołałem cień Alfreda; czułem, iż dla nieszczęsnej jestem wiecznym obrazem, przypomnieniem, a na twarzy mojej musiał osiąść jakiś wyraz niezmienny zgrozy lub przestrachu, zbrodnią wyryty, i nimto straszyłem dwoje nieszczęsnych... Ukryłem się za drzewa, widziałem z daleka, jak niesiono Zofiję do pojazdu; blondyn postępował za nią, jak za karawanem śmierci; turkot karety oznajmił odjazd, wracali goście od bramy po swoje salopy; wysunąłem się z za drzewa, kilka kobiecych głosów krzyknęło z przestrachu: »A co pan robisz, wszystkich nas dzisiaj powystraszasz z ogrodu.«

Jakto! zawołałem porywczo; czyżto ja...

»Tak jest, pan nabawiłeś Zofiję spazmów, biedna Zofija! ależto w tej chwili, gdyś stał w lasku, oparty o drzewo, tak byłeś podobny do Alfreda, jej męża, tak osłupiały, martwy, że wszyscy ze drzeniem wpatrywali się w ciebie, jak w widmo jakie. Biedna Zofija! ona zapomnieć nie może Alfreda; od czasu jego śmierci ciągle spazmy męczą niebogę;... szkoda! tak młoda.«

To słowo szkoda, wymówione różanemi ustami pięknej mojej napastniczki, przypomniało mi owo słowo Zofii, wymówione w tańcu do Alfreda. O! powtórzyłem z westchnieniem; szkoda, szkoda ciebie, Zofijo! tak młoda, a już na zawsze zgubiona.

*

Słyszałem poźniej, iż od owego czasu Zofija nie powstała z łoża.

A blondyn?...

Blondyn ożenił się bogato. D. G. M.

— Ze Lwowa. —

Pod napisem: Improwizacyja na pochwałę Czech, umieściła wychodząca w Pradze *Pszczoła Czeska* w Nr. 35 z r. b. poemat w języku polskim ziomka naszego Adama Gorczyńskiego (znanego w pismie naszém pod imieniem Jadam z Zatora), obok z tłumaczeniem czeskiém Karola Winarzyckiego. Sądzimy, że zrobimy przyjemność czytelnikom naszym, gdy tę improwizacyją, nadesłaną do Pragi z Karlowych-Warów (Karlsbadu), gdzie ułożona była podczas pobytu tamże autora, dosłownie w pismie naszém powtórzymy:

Znaszli ziemię czeską?
Znasz ojczyznę Jana,
Wełtawy niebieską
Wstęgą przepasana:
Na zielonym niw kobiercu
Błyszczą miasta biało-lice,
A przypiętą ma na sercu
Pragę, krasną swą stolicę.
Niby bukiet różno-barwny
Zwity z domów i kościołów,
Wyżéj, niby król padołów,
Gród króluje czesko-sławny.

Znaszli niwy czeskie?
Oko z falą płynie żytną,
Płyną smugi lnu niebieskie,
I pąsowe maki kwitną;
Wisznia na pszenicznym łanku
Słodką płoni się jagodą,
A tam w dole, w drzewek wianku,
Wieś osiadła po nad wodą;
A tam w dali góry czeskie
Bławém pasmem w koło biegą,
Powiesz ramyto niebieskie
Obrazu czeskiego.

Znaszli naród czeski?
Dzielny w boju, w pracy rzeski?
Mieczem i mądrości księgą
Łyskał ongi po nad światem,
Kogo zabił swą potęgą,
Sztuki znów ocucił kwiatem,
I w dalekie nie raz pole
Sława go uniesła,
I wysyłał swoje króle
Na cesarskie krzesła.

Znaszli panie czeskie?
Znaszl' czeskie dziewy?
Usta mają beskie
W ustach beskie śpiewy.
Lube, krasne mają lice,
Jakże nie całować?
Ach, to nasze są siostrzyce,
Jakże nie miłować?

Z Krakowa. Od 1. października r. b. wychodzić tu zaczną zeszytami: Pomniki historyi polskiej z rycinami. Pismo to, jedynie historyi polskiej od początków do roku 1764 poświęcone, zawierać będzie niedrukowane, lub nader rzadkie kroniki (jak np: Kronikę Rafała Leszczyńskiego), pamiętniki znakomitych zdarzeń, dzienniki, relacyje posłów, dyjaryjusze sejmowe, listy królów i t. d. przełożone z łacińskiego, lub w oryginale. Rozprawy, niektóre wątpliwości historyi pols. rozwiązujące. Bijografije ludzi uczonych, a mianowicie dziejopisarzów, i dyplomata, służące do objaśnienia, sprostowania, dopełnienia lub poparcia podań kronikarskich. Znajdzie tu czytelnik miłą zapewne dla siebie rozrywkę, znawca historyi wiele rozwiązujących wątpliwości, a może i pobudek do nowych badań i poszukiwań; dziejopis, zebrane w jedno i przygotowane dla siebie materyjały. Dwanaście zeszytów składać będą trzy tomy i wyjdą w przeciągu jednego roku.

Z Wilna. Wyszły tu dwa poemata z dzieł lorda Byrona, pod nazwą: Paryzyna. Kolmar i Orla, przekładania Ignacego Szydłowskiego. — Nakładem tutejszéj drukarni Ant. Marcinowskiego wydrukowano dwa dziełka: Rycerz Sierzpa, powieść W. Blumenhagena z niemieckiego; oraz trzy powieści: Próba; Hugo von Bracht; i Arfa. — Stanisław Rosołowski, znany z dzienników wileńskich, ogłosił przedpłatę na swoje Poezyje, w 2ch tomach wyjść mające. — Część pierwsza wydawanego tu pisma: Wizerunki i roztrząsania naukowe zawiera: 1. Zdanie o współczesnej literaturze francuzkiej (z *Edinburgh Review*). 2. O Goethém (z *Blätter fur liter. Unterhaltung.*) 3. Rozmaitości. (W tym ostatnim artykule,

traktującym o literaturze polskiéj, znajdujemy także wyciągi z pisma naszego, czerpane z gazet warszawskich (?). Życzymy, by to użyteczne pismo i na dal wychodziło.

W Moskwie wyszło dzieło w języku rossyjskim i polskim, pod tytułem: Pomniki z wieku XVII. czyli autentyczne świadectwa o wzajemnych stosunkach pomiędzy Rossyją i Polską. Czytelnik znajdzie tu wiadomość o wyprawie królewicza Władysława do Moskwy r. 1617, wyjątki z notat hetmanów Żołkiewskiego i Lwa Sapiehy, listy Maryny Moiszchównéj i t. d.

Nałęcz, romans historyczny Fr. Bernatowicza, przełożony został na język niemiecki przez pana Schnaase i wydany r. b. w Lipsku. (Wizer. i roztrz. nauk.)

W *Journal des Debats* z d. 23. sierpnia r. b. czytamy: »Nowa metoda uczenia robi od kilku miesięcy wielkie wrażenie między uczonymi Paryża. Wielu uczonych i członków instytutu, między którymi przytaczamy barona Silvestre, pp. Jamard i Depping, doświadcza zastosowania téj metody do nauki dziejów i chronologii. Wszyscy zgadzają się na to, że metoda ta łączy prostotę i dobitność z jasnością, i że jéj celem jest skrócić nudy wieku dziecięcego, i jaśniéj do pojęcia ucznia przemówić. Wynalazca téj metody, pan Jaźwiński, zapewnia, że możemy wprowadzić ją z użytkiem do wszystkich gałęzi umiejętności ludzkich.« Pismo *Journal des Debats* nie donosi nam jednak szczegółowo, na czém zasadza się ta przez pana Jaźwińskiego wynaleziona metoda.

Towarzystwo przyjaciół muzyki Państwa Austryjackiego ogłosiło przez pisma publiczne, że w Wiédniu, w dzień imienin Najj. Cesarzowéj Jejmości, dnia 6. listopada r. b., zamyśla wyprawić wielki festyn muzyczny, do czego wezwało wszystkich w stolicy państwa obecnych artystów i przyjaciół muzyki płci obojéj, ażeby tę muzyczną uroczystość swojémi uświetnili talentami. Dzieło muzyczne, które na tym festynie wykonane będzie, jestto oratoryjum G. F. Handla: *Belsazer*, a miejsce wykonania będzie c. k. ujeżdżalnia, przez Najj. Pana łaskawie na cel ten pozwolona. Oratoryjum to przypomni mieszkańcom Wiédnia podobne przedstawienia, słyszane tam przed kilkunastu laty, sławne talentem, okazanym w wykonaniu arcydzieł muzycznych, i mnogą liczbą wykonywających osób. Powtórzone zostanie d. 9. listopada t. r.

Zacny uczony włoski, pan Fabroni, warzył nie dawno piwo podług podań, zawartych w jednym z dawniéjszych klasycznych autorów, w sławnym Targoni, które nazwał piwem włoskiém, a którego przepis udzielono publiczności w piérwszym tomie Biblijotéki teoryczno praktycznego gospodarstwa, wydawanéj przez doktora Gera w Conegliano. Nowy ten napój ma miéć smak i kolor wina, przy tém jest mocny, posilny, przyjemny i mniéj gorzki, jak zwyczajne piwo. Że mniéj gorzkie jest to piwo, ztąd pochodzi, iż miasto chmielu używają do niego szyszek jodłowych, a pan Fabroni mniema, że szyszki te mogłyby niejako przy robieniu piwa tak drogi chmiel zastąpić. Piwo włoskie bardzo dobrze przechowywać się daje i przy tém bynajmniéj smaku swojego nie traci.

Najdziwniéjszy poemat chiński wyszedł przed 1500 laty. Tytuł jego jest: *Terru-Vanlaver-Kuddul* (Ocean mądrości). Dzieło rozpoczyna się następującą myślą: »Kobiéta, która, budząc się rano, piérwszą myśl małżonkowi swojemu poświęca, jest tak wzniosłą istotą, że na modlitwę jéj deszcz nawet z nieba spaśćby powinien.« Chińczycy żądają od kobiét swoich, oprócz przychylności i wierności ku swoim małżonkom, także jeszcze tego szczególnego przymiotu, ażeby milczały. Prawa ich pozwalają mężowi rozwieść się z taką żoną, któréj wielomowność dowiedzie.

Czysta Zuzanna. Wojsko francuzkie i płeć piękna prawdziwą poniosły stratę przez śmierć pewnéj niewiasty z Kaletu, o któréj istotnéj nazwie familijnéj nigdy się nie można było dowiedzić, a która powszechnie znaną była tylko pod imieniem czystéj Zuzanny. Gdy konwent narodowy ogłosił r. 1794, że ojczyzna w niebezpieczeństwie, i powoływał synów Francyi ku jéj obronie, wtedy i niewiasta ta, podówczas 14 lat mająca, przystała za dobosza do pułku ochotników w Pas-de-Calais i wraz z armiją francuzką odbyła znakomitsze wyprawy wojenne. Kilka odniesionych ran świadczą o męztwie téj bohatérki. Czysta Zuzanna mawiała często, że z twarzy Napoleona wyczytywała, iż kiedyś cesarzem zostanie. Odtąd powzięła ku niemu najgwałtowniéjszą miłość i towarzyszyła mu wszędzie. Była po dwakroć we Włoszech, była w Egipcie i w Hiszpanii. W Egipcie to było, w tym gorącym kraju, że żołniérze, używając na próżno do niéj wszelkich oświadczeń miłości i na próżno stawiając sidła jéj cnocie, postanowili wreszcie użyć przemocy i przemocą ją uwieść. Ale młody dobosz ostrzem oręża odparł zamachy swoich kolegów i wyzwał ich na pojedynek. Dla nowości przypadku przyjęto wyzwanie. Dziewica biła się zręcznie i śmiało, poraniła swoich przeciwników, a sama dostała lekką ranę przez plecy. Jenerał Kleber, któremu o tym osobliwym pojedynku doniesiono, kazał przywołać dobosza płci niewieściéj, a znalazłszy go zgrabnym i przystojnym, chciał równie, jak grenadyjerowie jego, próbować szczęścia. Lecz młoda dziewica oparła się podobnież natarczywości jenerała, jak i żołnierzy. Mówią nawet że mu zaproponowała, ażeby na chwilę zdjął epolety i poszedł rozprawić się z nią orężem. Ale Kleber uważał to *rendez-vous* za ubliżenie swojéj godności, nie przyjął wyzwania, i skarzył się przed naczelnym jenerałem na obrazę, jaką według jego mniemania wyrządziła mu będąca doboszem niewiasta. Bonaparte wszakże zganił Kleberowi jego postępek i oświadczył, że młodą dziewicę bierze odtąd pod swoję opiekę. Od tego czasu przezwano ją: Czysta Zuzanna. Odbyła wyprawy do Prus i Rossyi, i była obecną na smutnéj scenie pożegnawczéj Napoleona w Fontainebleau, i w chwili, gdy powoz cesarza odjeżdżał, piérwszy raz napadem mdłości okazała słabość płci swojéj. Wróciwszy do swego ojczystego miasta Kaletu, żyła w głębokiém ukryciu aż do epoki stu dni, w któréj znowu wzięła się do oręża. Ostatnia bitwa, w któréj walczyła, była pod Waterloo, gdzie ciężko raniona była. Umarła d. 9. marca r. b. w Kalecie, mając lat 54. Imię cesarza było ostatném słowem, które wymówiła. Koledzy jéj nazywali ją także Dziewicą Kaletańską, na wzór Dziewicy Orleańskiéj.

Starożytni brzuchomowcy. Sztuka brzuchomowstwa służy teraz do rozrywki i często wspiera zamiary kuglarstwa. Lecz musi ona być bardzo dawną, ponieważ, nie mogąc być li przez naukę przysposobioną, zależy na wewnętrznej organizacyi, i w starożytności musiała przy wyroczniach wielką grać rolę. Podług dziejopisarza Józefa *(Antiq. Jud. IV.* 15.) wróżbita z Endor była brzuchomowczynią. Prorok Izaijasz wiedział zapewne bardzo dobrze o brzuchomowstwie, zagraża bowiem Jerozolimie (29. 4.) »że głos jego, jak czarnoksiężnika, z ziemi wychodzić będzie,« co ściąga się zapewne do sztuki brzuchomowców udawania wychodzącego z ziemi głosu. Grecy nazywali swoje Pytysy *Engasromydes*, t. j: brzuchomowczyniami, i tylko tym sposobem można wytłumaczyć niektóre przez nich podawane zdarzenia, jeżeli wierzyć im mamy. Tak drzewo mówiło przed Apollonijuszem w górnym Egipcie na rozkaz pewnego gymnozofisty (Filostrat *De vita Apollonii VI.* 5.), i zapewne z tego samego źródła wypłynął głos z świętego dębu Dodony. Murzynom także nie jest obcą ta sztuka. Pewien Murzyn był w St. Thomas, w początkach 18go wieku, za to jako czarownik spalony, że zrobił taką sztukę, iż garnek i laska plantatora, którego był niewolnikiem, przemawiały. *(Blatter f. lit. Unterhalt.)*

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.